Nr. 20. We Lwowie dnia 19. maja 1901. Rok 10.



Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

„Społeczna“ literatura.

Podnosi się często srogi lament na literaturę współczesną — zwłaszcza poezję — że idee społeczne nic jej nie obchodzą, że przestała się zajmować życiem zbiorowem, a całą swą uwagę skierowała na życie jednostkowe, słowem, że wyzbyła się instynktu społecznego. Poetów dzisiejszych ma cechować wybitna dążność do odosobnienia się, oderwania od społeczności, promienie ich uczuć i myśli strzelają w wyżyny, by potem skupić się w ogniskach ich własnych dusz, nie drasnąwszy nawet otoczenia.

Co więcej — podobno to otoczenie ma ich napawać takim wstrętem, że podobno przestało być nawet pośrednim motywem ich wewnętrznych wzruszeń. Wszystko to zaś stało się za sprawą ducha czasu, którym zawładnął indywidualizm.

Pogląd ten już się o tyle utarł, że można go poddać małej rewizji.

Możemy spokojnie pominąć nasuwającą się tu kwestję, czy literatura — wogóle sztuka — ma spełniać dodatkowo społeczne, czy naukowe zadania. To rzecz uboczna. Jeśli temu, co nazywa się sztuką, odpowiadają pewne naukowo nawet określone i potrzebujące zaspokojenia psychiczne objawy, to może ona pozostać sama sobie celem i bynajmniej nie dźwigać na sobie obowiązku wyręczania innych dziedzin umysłowości, którym odpowiadają znowu odrębne potrzeby umysłowe. Natomiast chodzi o rzecz inną: o charakter współczesnej duszy, tak jak ona się pod względem uczuciowym i ideowym objawia w owej potępionej literaturze, przedewszystkiem zaś o ile ta dusza przestała być uspołeczniona.

Wyrzekania, o których wspomniałem, przybierają niekiedy formę historjozoficznych uogólnień. Filjację tych ostatnich zaczepia się w takich razach zwykle o niedawno przeszłe czasy, wspomina się o minionej dobie trzeźwości i kultu „pracy organicznej“, o upadku pozytywizmu, a wreszcie o bankructwie nauki - ulubionej „syntezie wieku“ rozmaitych lekarzy schorzałej ludzkości.

Pozytywizm atoli jako metoda naukowa ani nie upadł, ani też nie był wynalazkiem owych czasów przed laty 30. Właściwa nauka nic nie straciła na późniejszej reakcji przeciw trzeźwości. Prąd ten zaledwie dotknął jej progów i tylko je oczyścił, co było zresztą potrzebne i pożądane. Ci, którzy głoszą bankructwo nauki, muszą chyba pozostawać z nią w bardzo platonicznym stosunku. Gdyby bowiem przyłożyli swe ucho do ścian gabinetów i pracowni naukowych, posłyszeliby, jak tam wre i kipi życie intelektualne i jak gorąco pulsują mózgi ludzkie.

Zbankrutowało zaś zupełnie co innego: oto nadanie nauce znaczenia jedynej podstawy życiowej, podniesienie jej do godności wyłącznego fundamentu kultury. To zbankrutowało, jak bankrutuje każda taka jednostronna dźwignia życia, czy będzie nią nauka, czy chociażby nawet... sztuka. Życie jest wielkie i przestronne w rozmaitości swych falowań i śmieje się z każdego wysiłku ujarzmienia go w imię jednej i jednostronnej formuły.

Między dzisiejszym a minionym okresem zachodzi na tym punkcie ta różnica, że dawniej chłód i pewna siebie trzeźwość badacza zamkniętego w laboratorjum, rozciągnięto jako ideał na całość spraw ducha. Naukę wciągnięto w rozgwar potrzeb i namiętności życiowych, co więcej, zrobiono z niej panaceum na wszelkie duchowe i materjalne dolegliwości, a potem też i nagle ją stąd wypchnięto. W istocie zaś czysta nauka kroczy i nadal swym torem, nie troszcząc się o pozytywizmy lub romantyzmy, wypływające w „powracającej fali“.

Jest jednak faktem, że cechą ostatniego okresu było ogromne uspołecznienie jednostki, znajdujące wyraz swój w jej podporządkowaniu ogółowi i w wyłącznym kulcie pracy społecznej, jakim rozbrzmiewa ówczesna literatura. Późniejsza reakcja, koncentrując całą wagę i ciężar życia wprost przeciwnie, bo w indywiduum, miała zagasić ten blask idei społecznej, a nawet wprost

usunąć z życia jednostki czynniki, wiążące ją z otoczeniem.

Zdaje mi się jednak, że zachodzi tu pewne nieporozumienie co do sposobu rozumienia słowa: „społeczny“. Treścią tego pojęcia w literaturze pozytywizmu była pewna idea społeczna, powstała ze źródeł czysto intelektualnych, bo oparta na podstawach teoretycznie wypracowanych. Bohaterowie tej literatury, którym świeciły gwiazdy self-helpu i utylitaryzmu materjalistycznego, a w głowach królowały nauki przyrodnicze, zginęli— może bezpowrotnie. Ale poczucie zespolenia z gromadą — ze środowiskiem zostało — jeno w miejsce doktryny ekonomiczno-socjalnej wstąpiło czyste, człowiecze uczucie. Dziś dusza ludzka nie entuzjazmuje się suchą ideą, — może potroszę dla tego, że wiara w idee w niej nieco podupadła — lecz widzi obok siebie samego człowieka i lgnie do jego cierpienia, odtrącając precz naukowo zdobyte szematy. Poprostu instynkt społeczny rozszerzył się i uogólnił olbrzymio, ogarniając nietylko współistoty ludzkie, ale całe uniwersum. Człowiek tej dzisiejszej współczesnej literatury stoi oplątany całą siecią krwią serdeczną nabiegłych żył, jakie go łączą z naturą i z pokrewną mu ludzką istotą. W najgłębszych komórkach jego duszy tkwią tysiące strun nieraz boleśnie napiętych między nim, a środowiskiem. Wskazywać przykłady na to chyba zbyteczne.

Inna rzecz, że cechą każdej reakcji jest drastyczność w przejawach — w obecnym wypadku dająca się łatwo odnaleść w lirycznych zwrotach wielu spółczesnych poetów minorum gentium. Ale ta nieunikniona drastyczność zapędów nie tworzy jeszcze istoty samej reakcji ani jej zasadniczego tonu. Śledzenie zaś takich sporadycznych przejawów wiedzie do uogólnień, co najmniej niezwykłych. Nie tak dawno przecież można było czytać w jednym z naszych dzienników, w dłuższym fejletonie, poświęconym tej sprawie, iż znany wiersz Kasprowicza: „Byłeś mi bożyszczem, o tłumie“ jest najdobitniejszym wyrazem sprzeniewierzenia się poezji społecznemu natchnieniu i co gorsza —stał się „głosem Jana, obwołującego prawie nowy zakon dla poezji“. Wątpić można, czy wiersz ten był kiedy przez chwilę chociażby sztandarem, wywieszonym nad rymującymi zastępami i czy na swem sumieniu ma choćby jeden z owych emfatycznych wierszyków, rozsianych po szpaltach czasopism. Osobliwy komizm zestawienia tkwi w tem, że utwór ten jest wypływem właśnie owego „zatraconego“ instynktu społecznego, i że mógł zrodzić się tylko w takiej duszy, która nie tylko miała, ale i ma silnie rozrośnięty ów instynkt, złożony z dwóch istotnych składników: żywego poczucia ziemi i człowieka na niej żyjącego. Instynkt ten tylko wyzwolił się z intelektualnych form, a przyodział uczuciowe — zresztą żyje w całej pełni. I nie zdaje mi się, by mógł tak łatwo z duszy ludzkiej być wyrwany. Człowiek jest zoon politikon — wedle starego określenia Arystotelesa. Tylowieczne zżycie się w formie spólności, i tak dawna kultura uczuć w tym kierunku, nawiązały w psyche ludzkiej rozliczne sploty i rozgałęzienia, które nie dadzą się szybko wyplenić. Sieć tych splotów, może nieraz zwierać się boleśnie, — sam fakt, że sprawia cierpienie, dowodzi, iż istnieje. W zbiorowej duszy nerw zespolenia z naturą i człowiekiem tkwić będzie zawsze jako niezniszczalny motyw i przyczyna wielkich radości i smutków. *S.*



O KRZYŻAKACH.

Przez

16)

Marję Konopnicką.

Więc na wysokości krzyża tego właśnie, na którym skowronki śpiewają o wiośnie, i który zeschłemi wiankami kwiecia polnego pachnie, uczynił Sienkiewicz zacios drugi, wyższy, ten między niebem a ziemią, na którym stoi jego ksiądz Wyszoniek.

Ale ksiądz Kaleb stoi cały w chmurach i w błękicie.

Gdzie! Wyżej jeszcze: On, jak siedmioskrzydły Serafin, do tronu Boga lata, i tam się o sprawy duchów, które bujają na ziemi, – na jego ziemi, — poradza. A gdy się od Boga wraca, oczy ma jeszcze jakoby olśnione od słońc, które przebył, i jakby nieprzytomne od widzenia nieskończoności.

Pytają go: co? albo: jak? — A ów z przedziwną prostotą:— „Zaraz, jeno odetchnę, bo się z inszego świata wracam“. „Inszy świat“ — księdza Kaleba — to niebo; a ten tu świat, to Polska. A jest tym bojującym duchom nadmiar źle, ciężko, tedy idzie, i do nóg Chrystusowych się rzuca, i o zmiłowanie woła. I o najmniejszą owieczkę woła u Chrystusa. I leży krzyżem codzień na intencję „dziecka“, na intencję Danusi — od nieszporów aż do pierwszej gwiazdy. —

— Cuduście prosili? Macież tę moc? — pytają ludzie.

A ów: — „Mocy nijakiej nie mam, ale ją Zbawiciel ma.“

Bo jest ten duch, tak prosty w sobie, że o tych swoich zachwyceniach w niebo — nic nie wie. A insi też mówią o nich tyle tylko, iż „się zapamiętał w modlitwie.“ I nie dzieli ksiądz Kaleb ludzi na takich, którzy mają przystęp do Boga bliższy, bezpośredni, i na takich, którzy tam u proga tylko, albo i za progiem stać muszą. W ten „inszy świat“ - gdzie duch jego przebywa tak często, „na koniu nie zajedzie wprawdzie, ale na modlitwie zajedzie.“ A toć przecież droga każdemu otwarta...

On tak pokorny, a raczej tak wysoki duchem, że przebył zgoła te granice, które Opat z Tulczy pilno waruje przypomnieniem Beyhardowego stosu. Dla niego nie trzeba łaciny „proverbiów“ ani „pogolonej głowy,“ żeby „tajemnice spraw Bożych wyrozumiewać,“ aboli, jak mówi Maćko: „...z Duchem świętym w pobliskości żyć.“ Męka i ofiara dają tę moc – prawie że nadziemską.

— „Bywa tak – mówi o umęczonym Jurandzie ksiądz Kaleb, że gdy komu ziemskie oczy zagasną, ten właśnie widzi to, czego insi dojrzeć nie potrafią.“

I jeszcze o Jurandzie umęczonym mówi: — „Za życia on święty. Anieli go pilnują.“

I mówi o nim: „Patrona i męczennika świętego będzie ta kraina mieć w niebie.“

Bo kto cierpi, ten u niego w świętość i moc rośnie; a poświęcenie męki jest nad wszelkie poświęcenie, światłokręgiem zapala się nad umęczoną głową za żywota jeszcze.

Jakoż stoi on przy najwyższej męce i przy najczystszej ofierze, na każdy czas — aż do ich spełnienia.

On ci jest, który przeciw polnym marom umarłej Danusi idzie, i niesie krzyż w blaskach ogromnej, jakoby wiecznej zorzy, gdy w pobok niego kroczy ów straszny „crucifixus,“ ów biały, wyschły starzec z wykapanemi oczyma... On ci jest, który z Jurandem „testamenta“ pisze, i duszę te męczeńską i do krwi zszarpaną, od ostatków ziemi i krzyża jej — odwiązuje.

A gdy przeminą czasy, taki ksiądz Kaleb będzie się księdzem Kordeckim zwał, i weźmie krzyż w ręce, i na wałach Częstochowy stanie, i zapłomieni piersi rycerzy, i rzuci garść płonących duchów na morze – bezducha — i sprawi, iż się rzeczy niebieskie ku ziemskim przybliżą — i że powieje nad murami ów płaszcz modry, gwiaździsty, płaszcz Hetmanki rycerstwa polskiego...

A gdy jeszcze przeminą czasy, na murach Baru — jako ksiądz Marek stanie, i owieją go białe róże harmatnich dymów i w huku dział, i w tętęcie kopyt rumaka pana Pułaskiego — prorokować będzie. I porwie duchy, i wprost od stóp Chrystusowych powiedzie je piorunową drogą na bój i na śmierć, i na chwałę.

A gdy usłyszą o prorokowaniu jego ci, przeciw którym duchy te powiedzie, będą pytać naigrawając:

— „Maszli moc cudu“?

Lecz on odpowie im:

— „Mocy nijakiej nie mam, ale ją Zbawiciel ma“.

I to będzie jego ostatnie widzenie życia i przyszłości. To będzie wielkie proroctwo jego o Chrystusowej, o zwycięzkiej nad złem — mocy.

Takie są te trzy postacie, w których Sienkiewicz z genjalną skończonością i z mistrzowskiem stopniowaniem zamknął trzy wielkie typy księży polskich.

— Typ rubaszno-szlachecki, więcej sprawami tego świata, niż nieba zajęty, a i niebo to samo traktujący potrosze, jak wielkie sejmowe koło, w którem — jakby co — zawsze dobrem, szlacheckiem prawem „veto“ — huknąć można.

— Typ pogodny, dobroduszny, ku zbudowaniu, pożytkowi i pociesze ludzkiej będący, w garstkę owieczek swoich ojcowskim wzrokiem nad wszystko wpatrzony, i krzynkę nieba w najmizerniejszy, najuboższy zakąt wnoszący z sobą.

— Typ ascetyczny, prorocki, płomienny, a wzniosły — aż do zupełnej prostoty.

Typ wodza duchów w wielkich dziejowych momentach narodu.

Typy te wyczerpują w wspaniałej Sienkiewiczowskiej syntezie wszystko, co w tej winnicy pańskiej jest nasze, swojskie, rodzime, z wieku na wiek idące i odradzające się z czasów na czasy, — w coraz inszych kształtach żywota, lecz w tejże duchowej treści.

To zaś, co w typy te, w tę treść duchową nie godzi, co po za nią stoi, nie jest ani swojskie, ani rodzime, ani nasze: Jest — krzyżackie.

V.

Tymczasem to, co krzyżackie i to co nasze, — nietylko w tej, ale i we wszystkich innych dziedzinach społecznego i politycznego bytu, — stawało przeciw sobie coraz groźniej i wyłączało się wzajem z nienawiścią potężniejszą coraz. Poprostu walczył tu żywioł przeciw żywiołowi. Bo nienawiść była wyrazem i różnic plemiennych, i związanego z różnicami temi rozłamu, który tworzył nieprzebytą przepaść pomiędzy dwiema ideami życia, dwiema zasadami dziejowego rozwoju.

Nienawiść plemienna wyrażała się rubasznie i była na ustach u wszystkich. Kiedy się choremu Maćkowi djabli śnią, to „po niemiecku szwargoczą“; a Jagienka, broniąc się od zapowiedzianego zwrotu darów, przywiezionych do opuściałego Bogdańca, powiada: — „Bogdajże was! Czy my to Niemce, żebyśmy odbierali, co raz damy?“ I to była wzgarda nienawiści potocznej, codziennej. Ta nienawiść wszakże, która wyrażała sobą przepaściste różnice dwóch idei, dwóch zasad życia, i która tkwiła głęboko w narodowem czuciu, jako instynkt powszechny, ta wyjawiała się już to w pewnych trafnych uogólnieniach, na wiekowem doświadczeniu opartych, już w błyskach indywidualnego jasnowidztwa, które nagłem światłem oblewały dalekie pola przyszłości.

Jakoż wie stary, doświadczony Maćko, że „jeśli cię Niemiec obłapi, i w gębę całuje, tedy z tyłu gotów cię tejże chwili nożem żgnąć“.

Wie i Mikołaj z Długolasu, że „łgarstwa niemieckie są jakoby bór. Z brzegu jeszcze coś widać, ale im głębiej, tem większa gęstwa, że się człek i zabłąka i całkiem drogę straci“.

Ale Zyndram z Maszkowic, ten widzi jasno, że „z wilkiem i z Niemcem nie może być spokoju, bo on musi cudzem żyć“. Owszem: Jego bystre, jego dalekowidne oko, ma ogromne spojrzenie w przyszłość, gdy mądry mąż ten powiada:

— „Nam nie z Tatary wojować, ale z Niemcami, na śmierć i na życie. Jeśli ich nie zetrzem, zguba nasza od nich przyjdzie“.

A gdy to powiadał Zyndram z Maszkowic, mówił przez niego wielki duch dziejów i dusza narodu przez niego mówiła.

Bo to „wojować z Niemcami“—to było hasło, jakie w zaraniu narodowego bytu podał Duch Wódz, rycerze jasnej dziejów: duszy narodu naszego.

(C. d. n.)



7) WŁADYSŁAW ST. REYMONT

Pewnego dnia...

Radość ich była smutna i cicha, gwar rozmów przyciszonym i pełnym trwogi, spojrzenia tępe i zalęknione, ruchy powolne i automatyczne, przystosowane do ruchów maszyn, z któremi zawsze żyli; twarze jakby jakieś szare, martwe, pochylone naprzód, karki zgięte, ramiona obwisłe, ciała spłaszczone i chude, dostosowane do ciasnoty sal fabrycznych, do kształtów maszyn, do murów, do potrzeb fabryki!

Cały ten tłum dusz—nie, nie dusz, tłum dopełniaczy maszyn, tłum mizernych, najprostszych kółek i trybików; tłum niezłożonych mechanizmów fabrycznych, tłoczył się po ulicach, pił w szynkach i bawił się na karuzelach, w menażerjach, w Panoptikach, tańczył po ciasnych salach, siedział pod domami, i nie wiedział, co robić ze sobą, co robić z tą świątecznością — onieśmielony światłem, przestrzeniami wolnemi, ciszą i powstrzymywany w ruchach wewnętrznych, nieświadomą zależnością od tych potworów fabryk, stojących dookoła czerwonym, potężnym wałem ciał kamiennych, uśpionych tylko na chwilę, a czuwających; znikłych w odpocznieniu, a stróżujących tysiącami okien, setkami kominów, które zdawały się pochylać w blaskach słonecznych i zaglądać w ulice, w place, w zaułki, w pola, w domy — jakby pilnowały swoich niewolników i trzymały ich grozą swojego czuwania.

Pan Pliszka czuł to prawie wszystko, nie rozumiał, ale czuł, i dla tego pozwolił się porwać jakiejś gromadzie i płynął z nią aż za miasto, w pola; jakby na inny brzeg wyrzuciła go ta fala miasta, rozprysnęła się, a on pozostał nad ławicą pól pełnych zieleni, kwiatów, ciszy upajającej, świergotu ptaków.

Fala się rozprysnęła po tym zielonym brzegu, a on pozostał tylko z Kruczkiem, który ogłupiałym wzrokiem patrzył na skowronki, wzbijające się w górę i na rozkołysane zboża...

Chłodny i wilgotny wiatr wiał nad polami.

Pan Pliszka patrzył długo, patrzył pogardliwie na ten zielony, rozkwieciony, rozszumiały szmat ziemi, a potem z uśmiechem politowania spostrzegał ludzi, siedzących po miedzach, że im tylko głowy było widać ze zbóż.

— Głupie chamy! Kruczek do nogi! Kruczek! Krzyczał, bo pies jakby nagle oszalał, rzucił się w zboża, gonił za jaskółkami, szczekał na chmury, obwąchiwał tarniny kwitnące, tarzał się po bruzdach, to leciał bez pamięci po tem szumiącem, zielonem morzu, to znowu przystawał niespodziewanie i dziwnym, pomieszanym wzrokiem patrzył na żyta, jakby biegnące ku niemu, aż odskakiwał i ze skowytem przywierał do ziemi, rozpłaszczał się i patrzył, jak zboża ruszały się, szły... pochylały się nad nim, i dzwoniły zielonemi, lśniącemi źdźbłami!.. i odchodziły w drugą stronę...

— Także mi parada, nawet usiąść niema gdzie — szepnął pan Pliszka, zirytowany na wszystko, a szczególniej na Kruczka; odwrócił się z pogardą od pól i powracał do miasta, jak tylko mógł najspieszniej, powracał do domu. A gdy Kruczek przyszedł, był już gęsty mrok, pan Pliszka wybuchnął i zbił srodze psa.

— To ja sam tu będę siedział, co! Ty chamie, ty parobku głupi, to i tobie także wieś pachnie, co! Krzyczał strasznie; ale, że pies się nie bronił, tylko jakby jęczał z bólu i tak patrzył żałośnie, tak żałośnie skomlał i lizał jego ręce, że pan Pliszka ochłonął prędko, porwał Kruczka na ręce i rozpłakał się pewnie pierwszy raz w życiu.

— Cicho, Kruczek! Widzisz... twój pan!.. widzisz... sam... sam...

Nie, nie mógł już mówić więcej pan Pliszka...

Ale cały długi wieczór modlił się, żarliwie.

Nie wesoły miał pierwszy dzień Świąt Zielonych, pan Pliszka, nie.

Na drugi dzień już nie mógł dać sobie rady, tak mu pusto i źle było w domu, tak samotnie na ulicach, tak głupio w szynkach i tak tęskno, tak strasznie tęskno za czemś, że już na godziny prawie obliczał czas, dzielący go od powrotu tych „głupich chamów“.

Popołudniu, że już wytrzymać nie mógł, poszedł do fabryki. Włóczył się po salach pustych i cichych, pogrążonych w śnie. Maszyny spały, obwisłe, nieczynne pasy i koła wisiały bezwładnie, pogrążone w głębokiej, dziwnej zadumie; potworne, dziwaczne korpusy maszyn, stalowe łby i ręce — szarzały tajemniczo w świetle słońca, stosy kolorowych towarów leżały spiętrzone po salach. Kurytarze były ciche, kotłownie nieme i wygasłe — ale wszędzie, na każdym kroku, w każdym kantorze maszyn, czuć było straszną siłę, powstrzymaną tylko, skupioną, jakby przyczajoną na chwilę... Jakieś drżenie ledwie wyczuwalne, jakieś szelesty, jakieś głębokie ciche głosy — chodziły po salach, przepływały wskróś maszyn i murów... Czasem nit jakiś trzaskał, czasem pas się zsunął niżej, jakaś śruba zaskrzypiała, jakaś blacha drgnęła, jakiś tryb zgrzytnął, jakiś warsztat się poruszył, jakieś szyby zabrzęczały cicho — a potem znowu panowała cisza, straszna cisza spracowanych maszyn, odpoczywających metali.

Pan Pliszka bał się już chodzić po salach, trwoga chwyciła go za gardło, a ten majestat odpoczywających maszyn obezwładniał go i hipnotyzował. Skurczył się pod jakiemś oknem i siedział nieruchomy, martwy, ponury, odmawiał bezwiednie pacierze i lękliwie spoglądał po sali, po sufitach i oknach, bo się bał patrzeć na maszyny, czuł, że one patrzą na niego, że widzą, iż jest tutaj, te dziwne błyski polerowanej pracą stali, te błyski spojrzeń prawie, przenikały go zimnem i trwogą, a te spojrzenia były wszędzie, wydobywały się ze zwojów sztab i belek, i blach, i kół, i ram, i trybów — i przepełniały sale dziwnem światłem, przerażającem duszę ludzką światłem innego świata, światłem potęgi złej i nieubłaganej.

Ale mimo wszystko, było tutaj panu Pliszce lepiej, niźli w domu, bo tutaj nie czuł siebie, nie czuł ciężaru własnej duszy, nie tęsknił, przywarł jak pies do nóg odpoczywających potworów i chociaż w trwodze, czuł się przy nich spokojnym, bo nie był pozostawionym samemu sobie.

Dopiero późnym wieczorem powrócił pan Pliszka do domu.

Pani Radzikowa już powróciła, przywitała pana Pliszkę z radością, częstowała różnemi smakołykami, przywiezionemi ze wsi, i opowiadała z entuzjazmem, jak tam u brata księdza jest pięknie, jak to jabłonki są już w kwiatach; jakie już mają młode morele, jakie masło tanie a dobre; jak młodym gęsiom dają siekane jajka, żeby prędzej rosły, jak młode prosięta piją czyste, niezbierane mleko. Z zachwytem najszczerszym pokazywała księżą sutannę i wielkie buty z cholewami, dał to Antosiowi, trochę to za duże na chłopca, ale Bóg mu i za to zapłać; dał i futro dla niej, wprawdzie wierzch zatłuszczony i podarty, a futro dawno mole zjadły.. ale zawsze... zawsze poczciwy on, szlachetny i dobry człowiek!... I płakała z rozczulenia, płakała z radości, że są jeszcze ludzie dobrzy, bo cóż, że ona biedna, że krwawą pracą utrzymuje siebie i syna, ale ma brata księdza, który i pieniądze ma, i konie piękne, i poważanie u ludzi takich bogatych, u dziedziców, że gdy przyjechali na obiad wczoraj, to nie śmiała zasiąść, wolała z Antosiem jeść w kuchni, bo dosyć miała i tak uciechy, że brat z nimi siedzi, jak równy z równymi!

I opowiadała, opowiadała, upojona wycieczką, opalona na wietrze, pełna słońca, pełna życia, wiary, nadziei, którą przywiozła stamtąd... z pól, z łąk, z lasów.

A potem opowiadał Antoś i miał serce pełne radości, a oczy pełne łez, zachwytu i szczerości.

— O, jak tylko dorosnę, to zabiorę mamę i pojedziemy na wieś, tam będziemy żyć, bo tam jest tylko dobrze! tam! — wołał rozentuzjazmowany i podnosząc oczy, opowiadał jedno i to samo, aż go matka musiała wypędzać spać, bo byłby opowiadał noc całą.

A pan Pliszka słuchał uważnie, ale nie rzekł ani słowa... Bo tam, na wsi, jest tylko dobrze, tam! — powtarzał w duszy słowa Antosia i dziwnie się uśmiechał, dziwnie.

(C. d. d.)

Westchnienie.

Pragnie ma dusza w tej ciszy słonecznej,
co świat otula złotą pajęczyną,
spocząć — wpatrzona w blaski ponadziemne
i w barwne łuki tęcz,
w mgłach wykrzesane jasnością promieni...
Chciałaby spocząć, dopóki nie zginą
ostatnie złudy złud.
Lecz ją trzymają moce jakieś ciemne,
wynurzające się ze zgiełku ziemi,
jak ćmy z swych szczelin o zmroku...

Fale świetliste w nieskończoność płyną,
a dusza tęskni do ciszy,
tęskni i słyszy
nie szmer przelotu płomienistych gwiazd
w krainie słońca —
lecz jęk i łkania męczonego życia
na smutnej ziemi...
...Tęskni i czeka końca...

Z. Poznańska.

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

Miał nadzieję, że ktoś ze swoich przyjdzie go tu odwiedzić — Hanki najprędzej się spodziewał. Ale dni i tygodnie w nadaremnem upływały oczekiwaniu. Nie wiedział nawet, biedak, że Hanka, nie mogąc się oderwać sama od domu i dzieci, wysłała była do Pragi wiernego przyjaciela, Iskrę Rzehurzka, lecz ów kołatał nadaremnie do bram więziennych. Nie rozwarły się przed nim.

Surowa zima zapanowała nad światem.

Młody więzień nie przestawał dowiadywać się o wuja i nalegać na zobaczenie się z nim. Odpowiadano mu, że stary wciąż nie domaga, że jest mu raczej gorzej, niż lepiej; żądania jednak uwzględnić nie chciano.

Jan rozumiał doskonale, że władze więzienne zachowują się wobec niego z większą może surowością, niż wobec najbardziej występnych zbrodniarzy. A rozżalona myśl jego widziała źródło onej surowości, podobnie jak i wszystkich innych nieszczęść, osobistych i ogólnych, — w Lammingerze. To też gorycz coraz zjadliwsza zalewała mu serce. Czuł, że gdyby wysoko urodzony pan zjawił się nagle w celi i ofiarował mu wolność za cenę zrzeczenia się praw dawnych, byłby odpowiedział bez wahania: „nie“ i nie byłby spuścił przed nim oczu, byłby wytrzymał piorunujące spojrzenie kata, jak wtedy, gdy ów najechał Ujazd, aby stare dokumenty im wydrzeć.

XXV.

W jasne popołudnie marcowe, strażnik wyprowadził Krzysztofa Hrubego z celi na podwórko więzienne. Stary góral był tak osłabiony, że nie korzystał nawet z dozwolonej przechadzki, lecz osunął się odrazu na ławkę prostej roboty, która stała w świetle słonecznem. Twarz jego i cała postawa zdradzały ogromne wyczerpanie. Od chwili, gdy się rozniemógł podczas trwania sądu apelacyjnego, nie ulżyło mu ani trochę. Więzienie źle wpływało na jego zdrowie, a wieści o wypadkach na Chodzku i troska o dom, o rodzinę, dokonały reszty. Teraz wyciągnął nogi, oparł ręce o kolana i zapatrzył się w słoneczko, którego nie oglądał od tak dawna. Niebawem jednak znużone powieki opadły w dół, siwa głowa pochyliła się ku piersi. Podniósł ją dopiero wówczas, gdy ujrzał na ziemi cień, który się przed nim zatrzymał.

— No i jakże się mamy, stary? — zagadnął Hrubego poważny pan w ciemnym, gwoździkowej barwy kabacie, czarnych spodniach i czarnych pończochach, z laską o srebrnem okuciu w ręku.

— Dość źle, miłościwy Panie — odrzekł stary Chod, zwracając twarz ku pytającemu doktorowi. — Zaledwie nogami powłóczę. A sił mam telo, co mucha. Wprzód mogłech spać przynajmniej, ale teraz...

— No, no, milcz, stary! Zapiszę ci proszek.

— Hej, miłościwy panie, apteka już nie dla mnie. Nie przeżyję wiesny... Mniejsza zresztą o mnie, byle zwrócono nam prawa nasze. Ale jakoż poradzić... — starzec machnął ręką beznadziejnie, gdy wtem porwał go silny napad kaszlu.

Doktor patrzał na chorego z widocznem współczuciem. A Hruby, przemógłszy kaszel, mówił po chwili:

— Jeżeliście już tacy łaskawi, miłościwy Panie, toż raczcie mi powiedzieć, co słychać o tym naszym chłopcu, Kozinie?

— Kozina? O, ten twardo stoi przy swojem. Widać, że ta sama krew płynie w żyłach was obu. I czegoż się spodziewacie, szaleńcy? Czemu się nie poddacie?

Hruby wstrząsnął głową siwą.

— Nie, nie, panie doktorze — szkoda nawet o tem mówić. Ale on, Kozina, czy wesół? czy nie chory?...

— Nie, nie chory — odparł ostrzejszym tonem doktor, którego drażniła nieco zaciętość starego Choda — i miał się ku odejściu.

— Jeszcze o jedno prosił was będę, panie — zatrzymał go Hruby. — Zechciejcie mi rzec, w której stronie leży nasze miasto, Domażlice?

— I pocóż ci to? — zdziwił się doktor.

— Tak sobie... chciałbych patrzeć na niebo, co świeci hań u nas... nad naszym krajem...

Doktor spojrzał na słońce, a potem, wskazując ręką, mówił:

— Tam, w tej stronie znajdują się Domażlice i ten wasz kraj nieszczęsny, buntowniczy...

Głos jego brzmiał teraz mniej surowo. Odchodząc, obejrzał się raz jeszcze na starego Choda. Ów siedział nieruchomo, z oczyma utkwionemi w stronę nieba, kędy piętrzyły się góry szumawskie i słała się jego ziemia nieszczęsna, za którą cierpiał i o której nie przestawał myśleć ani na chwilę.

O kilka kroków od więzienia, doktor spotkał jednego z członków sądu apelacyjnego, radcę Paroubka i rozmowa zawiązała się sama przez się o Hrubym i jego siostrzeńcu.

— Tak, to prawda — mówił Paroubek, mrugając zezowatem okiem — ci dwaj daliby się raczej końmi rozszarpać, niż odwołać, co powiedzieli o swoich prawach. Natomiast rodacy ich, dali wszystkiemu za wygranę i przysięgli na poddaństwo. Chodzi więc jeno o dwóch...

— No, cały rok więzienia zmiękczy i Kozinę. Co do starego, wątpię, aby zdołał wytrzymać...

— Hm, sam jeszcze nie wiem — ale gdyby...

— Co takiego?

— Lamminger, wielce niezadowolony z naszego wyroku, wniósł rekurs. Chce oddać całą tę sprawę do sądu kryminalnego.

— I uda mu się?

— Ha no, przecie to Lamminger! Onym Chodom w Wiedniu szło z początku bardzo dobrze, potrafił jednak wszystko cofnąć i przerobić. Ma wielu przyjaciół, a przytem wie, że chłopskie pretensje i zatargi źle są widziane u góry...

— A jeżeli sprawa pójdzie przed sąd kryminalny? — przerwał mu doktor.

— Sędziowie będą widzieli w tem bunt, a potem...

— A potem znajdzie się paragraf, jeden i drugi, aż dojdzie do szubienicy — dokończył doktor.

* * *

Młody Szerłowski wciąż jeszcze przebywał w Bawarji, na służbie w jakimś samotnym zamku niemieckim, wśród lasów położonym.

Od czasu do czasu słał do rodziców z zapytaniem, czy może wrócić, ale ci odpowiadali, aby czekał, bo panowie wciąż go jeszcze poszukują.

W ciągu całego tego czasu, roku prawie — dwa razy jeno mógł uradować siebie i narzeczoną: potajemnie, przez gęstwiny leśne się przedzierając, wpadał w nocy do Ujazdu, aby następnego wieczora zniknąć równie tajemniczo, jak przychodził. Ostatni raz będąc, przed samą jakoś Wielkanocą, skarżył się, że dłużej już nie wytrzyma, że woli choćby rok w areszcie siedzieć i w łańcuchach pańszczyznę odrabiać, niż na obczyźnie wśród obcych przebywać ludzi.

Ale Maryna uspakajała go i pocieszała, zaklinając na wszystkie świętości, aby jeszcze przez pewien czas poczekał. A jednak, jakżeby się czuła szczęśliwą, gdyby on tu był, gdyby mogła nazwać go mężem swoim! Pomimo to, bez wahania odrzuciła radę sąsiadek, które ją namawiały, aby szła do Lammingera, skoro ów przyjedzie do Terhanowa, prosić za narzeczonym.

— Niebożyczek tata przyszliby ku mnie — nie, nie uczynię tego nigdy!

Natomiast Hanka dowiadywała się niemal co dzień, czy państwo już nie przyjechali. Młoda kobieta była wiosną w Pradze, ale nadaremnie prosiła, płakała, nadaremnie oddała wszystkie pieniądze, które miała ze sobą, stróżom więziennym. Nie puszczono jej do męża, tyle jeno wymogła, że obiecano powiedzieć Janowi o jej bytności.

Kozinie, jakkolwiek nawykłemu do obchodzenia się z nim władz więziennych, trudno było uwierzyć w podobne okrucieństwo. Więc była tak blizko, — ona, najdroższa mu w świecie istota — i nie pozwolono im na krótką chwilę rozmowy! Uczuł ból ostry w sercu, ale jednocześnie i płomień gniewu. Potem myśl jego pobiegła w ślad za biedną Hanką, towarzyszyła jej od bram więziennych w drodze powrotnej do domu. O, gdyby widział, jak bardzo była zgnębiona, jak bolesnym wybuchnęła płaczem, gdy dzieci wybiegły z babunią na spotkanie, aby powitać mamę i usłyszeć co tata kazował im powiedzieć.

To też ona jedna tylko na całej ziemi chodzkiej wyglądała z niecierpliwością przybycia Lammingerów, którzy dziwnie spóźniali się w tym roku. Ułożyła sobie w myśli, nic i nikomu o tem nie powiadając, że pójdzie do zamku prosić szlachetnie urodzoną panią, aby Jana przed terminem jeszcze uwolniono z więzienia. Miała do niej zaufanie, słyszała bowiem, że nie jest tak twardego serca, jak Lamminger, wierzyła zresztą w jej uczucia. Wszak wysoko urodzona pani, sama była żoną i matką... W razie zaś, gdyby nie mogła wybłagać wcześniejszego powrotu Jana, miała nadzieję otrzymać pozwolenie na widzenie się z nim w Pradze, w więzieniu. Była bowiem gotowa przedsięwziąć ponowną podróż, tą razą z Pawełkiem, aby uradować męża widokiem ukochanego dziecka.

Ale wiosna minęła i żniwa nadeszły, a państwa wciąż nie było na zamku. Hanka przestała ich nawet wyglądać, bo zbliżał się czas powrotu Jana. Przygnębienie jęło w jej duszy ustępować miejsca nadziei. O niczem innem nie rozmawiała teraz z Iskrą i Dorlą, jeno o powrocie męża.

A gdy ci odchodzili do domu, opowiadała Pawełkowi i Hanusi o ojcu, o rychłem jego przybyciu. Powtarzała to im w każdej wolnej chwili, najlepszą jednak miewała ku temu sposobność w południa niedzielne i wieczorami, gdy układała je do snu i kazała modlić się za nieobecnego.

Gdy jednak drzewa jęły złocić się w słońcu jesiennem, a Jana nie było widać, wiara w lepszą przyszłość poczęła gasnąć w jej sercu znękanem.

Smutno i ponuro było na świecie, gdy wracała w pewne południe jesienne do domu z miasta. Chodziła tam dla załatwienia różnych spraw gospodarskich, w sercu jednak żywiła tajną nadzieję, że może spotka się z Janem...

Wtem zaraz u wstępu do wsi ujrzała gromadkę ludzi, żywo rozprawiających.

— Nie dość Lomikarowi naszej krzywdy — mówił jakiś głos podniesiony — i męki mu naszej jeszcze mało. Oto kazał uwięzić Sykę, Ecla, Pajdara, starego Szerłowskiego, Pecza, Niemca i wszystkich, którzy brali udział w deputacjach wiedeńskiej i prazkiej... Odesłano ich właśnie do Pilzna, skrępowanych, niby złoczyńców...

Hanka, łamała ręce, słuchając strasznej wieści. Teraz już wiedziała, czemu Jan nie wracał do domu.

A gdy w chwilę później Iskra Rzehurzek, zgnębiony i przerażony, ukazał się nieśmiało na progu jej izby, z piersi nieszczęśliwej kobiety wyrwał się rozpaczliwy okrzyk:

— Iskro! on już nie wróci — nigdy!

Z Syberji i Kamczatki

przez dra Benedykta Dybowskiego.

(Ciąg dalszy)

S. p. Tomasz Ilnicki nie był jedyną ofiarą tortur moralnych i cielesnych, przeżywanych i przecierpianych po więzieniach w latach 63 i 64. Wszelako środkami barbarzyńskimi, o których była mowa uprzednio, posługiwano się najchętniej, z wielkiem upodobaniem i z mistrzostwem nieporównanem, głównie na „Pawiaku“ w Warszawie, tutaj bowiem poniewierka godności ludzkiej doprowadzoną była do szczytu możebnej doskonałości, ale pozbawiła też ona za to wielu męczonych równowagi umysłowej i wpędziła ich w grób przedwczesny.

Przypatrując się bliżej osobistościom, dręczonym po rozmaitych więzieniach ówczesnych w kraju zabranym, a następnie zesłanym na Syberję do robót ciężkich, można było wyróżnić pewną ilość typów „obłędu powięziennego“, jak go nazywaliśmy w ową porę. Wszystkich ich tu jednak wyliczać nie będę, najważniejszym z nich tylko, poświęcę uwagi następujące: Do typu rzucającego się najbardziej silnie w oczy obserwatora, należeli ludzie, dotknięci obłędem nienawiści do oprawców, a zarazem do wszystkiego, co rosyjskie. Pogarda wszelkich instytucji państwowych, niewiara w uczucia ludzkie, goszczące w sercach Rosjan, stanowiły cechy główne tego cierpienia moralnego.

Byłoby ono może ustąpiło z czasem, gdyby nie ciągłe, świeże potwierdzenia raz powziętych przekonań. To też coraz nowe jątrzenia ran, jeszcze niezabliźnionych, rozdrażniały chorych, i wprawiały ich w stan silnego pobudzenia nerwowego. Jedni z nich wyładowywali wezbraną falę żółci swojej w formie złorzeczeń i wymyślań, do takich należał ś. p. Tomasz Ilnicki, drudzy natomiast rwali się do czynu. Tak np. znałem niejakiego Bielewicza, który postanowił był zabić „chociażby tylko isprawnika“, jak powiadał, i to pierwszego lepszego, jakiego napotkał, ale wraz z tem zamierzał po dokonanym czynie odebrać sobie życie.

Osobom, starającym się odwieść go od tak szalonego przedsięwzięcia, odpowiadał krótko, że „trzeba poświęcenia, niech każdy z nas zabije jednego łotra, a mniej ich będzie na świecie“. Jeszcze inni nosili się z myślą zemsty bardziej silnej, dalej sięgającej i w cichości sposobili się do niej. Trzeba było poznać ogrom nienawiści szalonej u osób łagodnego, przyjacielskiego charakteru, ażeby należycie módz ocenić tę otchłań poniewierki i cierpienia, na sobie doznanych, lub na ukochanych i blizkich sercu osobach dokonanych, które to zdołały przemienić ludzi serca gołębiego, w manjaków, marzących o zemście, o mordach i zniszczeniach. Jeden z wieśniaków żmudzkich, człowiek cichy, potulny, wielce bogobojny, odmawiał co dzień głośno, rano i wieczór litanję „zemsty“. Zapamiętałem z niej niestety, parę tylko ustępów, przytoczę je tutaj jako przykład, że nawet ludzie nawskróś religijni, pamiętający dobrze o przykazaniu, że nieprzyjaciołom wybaczać trzeba, uczucia jednak zemsty w sobie pokonać nie mogli, a tylko wykonanie jej poruczali samemu Panu Bogu, gdy inni, gorętsi, sami ją wykonać zamierzali. (C. d. n.)

Z pism i książek.

Ideolog, powieść norwezka Jonasza Lie — przełożyła Józefa Klemensiewiczowa. Wydaw. Biblioteki dzieł wyborowych

Pilna tłumaczka mistrzów norwezkich, p. Klemensiewiczowa, wzbogaciła znowu literaturę naszą przekładową piękną powieścią Liego.

„Ideologa“ poprzedza dłuższe studjum krytyczne o sławnym autorze norwezkim pióra jego tłumaczki. Ze studjum tego dowiadujemy się, że Lie czerpał wątek do tej powieści z własnego życia, jak sam o tem mówi w liście do znajomych, zaznaczając, że trudno mu było ubrać w szatę literacką walki i upadki, przez które przechodził, nim poznał duszę własną, jej pragnienia, porywy, dążności.

Z innych zajmujących szczegółów, które podaje ów szkic biograficzno-literacki, podniosę jeden tylko. Oto Lie, podobnie jak większość znakomitych ludzi — miał bardzo niepospolitą matkę. Obdarzona bujną wyobraźnią, świetną pamięcią i nadzwyczaj żywym temperamentem, interesowała się szczerze polityką i literaturą, uprawiała z zamiłowaniem botanikę, posiadała kilka obcych języków. Umysł jej zachował do końca świeżość tak wyjątkową, że w 60 roku życia zaczęła się uczyć z powodzeniem łaciny, a w 70 zajęła się gorliwie matematyką. Czy fakty, podobne temu — liczne, znane dobrze nauce, — fakty dziedziczenia przez synów duchowości matek, — nie zdołają w końcu przekonać panów przeciwników tak zwanej kwestji kobiecej, że gasząc w kobiecie myśl, zwężając sferę jej uczuć, działają też i na szkodę kwestji — męzkiej?

Przekład „Ideologa“ bardzo dobry, świadczy o giętkości stylu tłumaczki i opanowaniu obu języków. Tem przykrzejsze wrażenie robi niestaranna korekta. Miałażby „Biblioteka“ dążyć do pozyskania tytułu „wyborowej“ i pod względem zaniedbania wydawniczego?

M. W.

Sprostowanie. W Nr 19 „Tygodnia“ w wierszyku p. t. „Wiosna,“ zamiast „przyjazne“ w wierszu 3, powinno być: „przejasne,“ zaś w wierszu 6 zamiast „przebrzmiała“ — „rozebrzmiała.“

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów ul. Kopernika 5.